

„Spójrz przez moje oczy”

Nie znam miary czasu, nie wiem, kiedy się urodziłem, ani ile mam lat. Nie jestem w stanie powiedzieć, kiedy to miało miejsce, ale chcę opowiedzieć wam moją historię o tym, jak znalazłem przyjaciela i poznałem, czym jest miłość.

Jestem koniem, nazywam się Tommy, a przynajmniej tak na mnie mówi mój właściciel – Adam. W dużej mierze to o nim będzie ta opowieść. Gdyby nie on, mógłbym teraz tego nie opowiadać, a jednak właśnie to robię. Teraz do rzeczy, odkąd byłem małym źrebakiem, mieszkałem z moją mamą, która była piękną, izabelowatą klaczą. Mieszkaliśmy razem w stajni jakiegoś starszego mężczyzny, niczego nam nie brakowało, aż pewnego dnia do stajni zawitał kupiec. To był ostatni raz, kiedy ją widziałem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak bardzo będzie mi brakować jej ciepła i troski.

Ten dzień zapoczątkował mój długotrwały brak zaufania do ludzi. Jak mogłem zaufać rasie, która odebrała mi wszystko, co miałem? Starszy pan nie traktował mnie źle, karmił mnie, poił, a czasem nawet mówił do mnie. Niespodziewanie pewnego ranka nie przyszedł. Minął jeden dzień, później drugi i trzeci, a ja stawałem się coraz słabszy. Myślałem, że nie dotrąm do następnego wschodu słońca. Gdy naprawdę wyczerpany obudziłem się czwartego dnia, zobaczyłem, że stoi nade mną dwoje ludzi. Jakaś kobieta i ktoś bardzo podobny do starszego pana, mężczyzna, ale znacznie młodszy. Mimo że byłem jak w półśnie, udało mi się wywnioskować, że to jego syn i moja nowa właścicielka. Gdy tylko mnie nakarmili i wyczyścili, kobieta zabrała mnie do czegoś, co wyglądało jak mała stajnia na kółkach, nie miałem pojęcia, co to jest, ale wewnątrz czułem, że nigdy nie wrócę do miejsca. Chciałem tylko znaleźć się wśród swoich, miałem dosyć ludzi i sposobu, w jaki traktują zwierzęta. Nie jesteśmy towarem, który się sprzedaje i kupuje. Nie ma nic bardziej mylnego niż stwierdzenie, że zwierzę nic nie czuje i wszystko mu jedno gdzie się znajduje. Każda żywa istota potrzebuje tego samego. Różnimy się od siebie, ale na pewnym poziomie jesteśmy tacy sami. Natura nas nieodwracalnie połączyła i człowiek powinien się z tym pogodzić. My też zasługujemy na szacunek, życie bez bólu i podmiotowe traktowanie. Gdy jechałem już drugą godzinę, właśnie to odwracało moje myśli od zmęczenia. Wtedy myślałem, że ten problem mnie nie dotyczy, byłem młody i dość naiwny.

Nie wiem, kiedy zasnąłem. Obudziłem się, gdy drzwi się już otworzyły i kobieta kazała mi wysiadać. Stałem przed ogromnym, szarym budynkiem pachnącym starym sianem i końmi. Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Weszliśmy do długiego korytarza, który był ciemny i zimny, to nie wyglądało jak stajnia. Słyszałem nad nami mnóstwo kopyt i głośnie rzenie. Trochę przypomniało mi to o mamie, nie widziałem jej już tak długo, a mimo to dalej pamiętałem uczucie, jak otaczała mnie swoim ciepłem, gdy bałem się burzy albo, gdy nie mogłem spać. Będę ją taką zawsze pamiętać. Do dziś jej nie widziałem i czekam na dzień, aż wrócimy do siebie. Jestem pewien, że jeszcze się spotkamy, powinienem być blisko niej i zajmować się nią, kiedy się zestarzeje tak, jak ona zajmowała się mną, gdy dorastałem.

Na końcu korytarza, którym wtedy szliśmy, widać było schody do góry i właśnie tam się skierowaliśmy. Tu zaczynał się mój koszmar. Znalazłem się w miejscu, z którego wydobywał się nieznanymi hałas. Nie umiem liczyć, jestem koniem, lecz sądzę, że było nas tam około setki. Wielka hala, pełna koni różnych maści i rozmiarów, niezbyt czysta. Gdy pierwszy raz w niej stanąłem, od razu poczułem zaduch, który tam panował, liczyłem, że trafie na farmę pełną łąk, świeżej trawy, przestrzeni i na właściciela, który potraktuje mnie jak

członka rodziny, a nie ‘głupie zwierzę’. W tamtym momencie czułem, jak łyzy cisną mi się do oczu, nie w taki sposób chciałem wrócić do moich braci, nie w niewoli. Pierwszej nocy nie mogłem spać, wszyscy byli wystraszeni i jacyś osowiali, a coś mrocznego unosiło się w powietrzu. Po kilku dniach zauważyłem, że wiele koni zniknęło, a na ich miejsce pojawiają się nowe. Te nowe miały w oczach ten sam błysk nadziei, co ja, gdy na początku tu wchodziłem. Ale to kwestia kilku chwil, zanim znika i chowa się tam gdzie mój, pod grubą skórą strachu.

Codziennie mniej więcej o tej samej porze dwie osoby w białych strojach przychodzą, i zabierają kilkoro z nas, przez chwilę słysząc ich kopyta i hałas, a za moment wszystko cichnie. Zacząłem rozumieć, co tu się dzieje, gdy przez okno zobaczyłem jak z bramy głównej wyjeżdża ogromna ciężarówka handlowa. Miałem wrażenie, że już nie mam siły na nic i chciałem się stamtąd wydostać za wszelką cenę. Urodziłem się, żeby być wolny i odejść wolny. To było moje motto, odkąd zostałem sam, ale teraz nadszedł moment, w którym przestałem wierzyć w to wszystko. W jakąkolwiek pozytywną relację z człowiekiem, w wolność, w sprawiedliwość i w to, że moja mama gdzieś tam w tym szalonym, wielkim świecie na mnie czeka. Nie zostało mi nic, tylko czekać. Na koniec lub nowy początek.

Któregoś dnia mojego pobytu w tym okropnym miejscu zjawiał się młody chłopak. Dotychczas jedzenie przynosił jakiś człowiek z czarnymi włosami, w okularach, teraz zjawiał się on, miał bardzo jasną skórę, piegi i rude włosy. Wyglądał dość pogodnie. Miałem nadzieję, że nas wypuści na zewnątrz, na powietrze albo chociaż nas umyje. On jednak wszedł tylko, przeliczył nas, i smutno zawiesił na mnie wzrok, jakbym był obrazem rozpaczony, sam nie jestem pewien czy właśnie tym wtedy nie byłem. Przestałem przypominać pogodnego konia szukającego przygód, którym zwykłem być. Od tego dnia jednak coś się zmieniło, widok chłopaka pocieszał mnie, w przeciwieństwie do reszty pracowników mojego więzienia wokół niego panowała miła aura. Miał w sobie coś, co rozpędzało ten mrok. Gdy przychodził do nas, z czasem zaczął czesać nam grzywy, przynosił warzywa i owoce w koszykach i zawsze przy tym gwizdał. Jego głos przywołał mi na myśl śpiew skowronka, który rozbrzmiewał codziennie rano, gdy mama nosem trącała mnie, abym wstał coś zjeść. Chciałem go słuchać bez przerwy, kojarzył mi się z domem, takim prawdziwym. Jego przyjście było czymś wartym czekania.

Niestety wszystko, co dobre, kiedyś się kończy, raz usłyszałem jak z kimś bardzo zawzięcie się kłóci i później nie wrócił do nas na bardzo długo. Codziennie czekałem na niego przy wejściu, miałem nadzieję, że go zobaczę, czułem, że ja też byłem dla niego, choć trochę wyjątkowy. Nie obwiniałem go za to, że nie wraca, powodem zapewne była kłótnia z mężczyzną, chyba jego szefem. Nie wierzę, że zostawił mnie i nas wszystkich z wyboru. Gdy myślałem, że to najgorszy moment mojego pobytu tutaj, zdecydowanie nie spodziewałem się tego, co będzie. Jak zwykle, gdy minęła pora karmienia, przyszli ludzie po kolejne konie, choć sam się tym brzydzę, to stało się to dla mnie normą. Lecz tamtym razem było inaczej, wśród innych koni zabrali mnie. Poczulem, jak nogi mi się uginają, a przed oczami zrobiło się ciemno. Już wiem, co czuli moi poprzednicy, gdy wychodzili z sali, która w jednym momencie z więzienia stawała się bezpiecznym azylem. Pragnąłem za wszelką cenę znaleźć się wtedy w objęciach matki, tylko ona mnie kochała i chroniła przez całe moje życie. Tak przynajmniej było wtedy.

Wracając, po chwili zawieszenia odzyskałem świadomość. Starłem się z całej siły zapierać kopytami, ale byłem osłabiony. Nie poddałbym się bez walki. Jednak byłem zbyt zmęczony żeby sobie poradzić, zostało mi tylko liczyć na cud.

Gdy zaprowadzono mnie do białej sali pełnej sierści, ledwo widziałem na oczy, jeśli to miał być moje ostatnie chwile, to chciałem przypomnieć sobie czas, kiedy byłem naprawdę szczęśliwy. Ostatni oddech miał być dla mojej mamy. Kiedy czułem już, że zbliża się do mnie jeden z mężczyzn, który mnie tu przyprowadził, zamknąłem oczy. Bałem się je otworzyć, pojedyncza łza spłynęła po moim policzku, i wtedy poczułem dłoń, która mi ją ociera. Zebrałem się w sobie i otworzyłem oczy, a wtedy ujrzałem przed sobą chłopaka, który do nas przychodził. Wtedy wiedziałem, że to człowiek, któremu można zaufać. Może jednak nie wszyscy ludzie byli tacy źli? Zaraz po tym jak otworzyłem oczy, nie było czasu na myślenie, wtedy chłopak zaczął ciągnąć mnie za sobą, chciał mnie stamtąd wydostać. Już miałem za nim biec, ale uświadomiłem sobie, że reszta koni nie może tam zostać. Nie odbiorę im ostatniej szansy. Zaciągnąłem go wtedy w stronę reszty, od razu zrozumiał, co mam na myśli. Od początku była między nami więź. Choć było to ryzykowne, bez namysłu otworzył drzwi na oścież i krzyknął, żebyśmy biegli. On był pierwszy, biegł przez liczne korytarze, a całe stado łącznie ze mną, za nim.

Przewodził nami aż do wyjścia, gdy wybiegliśmy na zewnątrz, okazało się, że brama już jest otwarta. To było jednak przemyślane, podziwiam go za odwagę, jaką się wtedy wykazał. Wyprowadził nas wszystkich na trawnik nieopodal budynku i puścił wolno. Już miałem uciekać z innymi końmi, ale wtedy podjąłem decyzję. Zostaje z nim, uratował mi życie i jest teraz moją rodziną. Stałem obok niego, gdy wszystkie rumaki już przebiegły i nie ruszałem się z miejsca. Namawiał mnie do odejścia, ale z nim mogłem być naprawdę wolny, był moim przyjacielem.

Przyjaciół się nie zostawia, nie zrobię tego, co ludzie robili mi dotychczas. Pierwszy raz mogłem powiedzieć, że ufam człowiekowi. Gdy Adam (tak się właśnie nazywał) zrozumiał, że nigdzie nie odejdę, powiedział, że zabierze mnie do siebie, a niedługo uciekniemy stąd i razem zaczniemy wszystko od nowa. Wiedziałem, że nie da mnie nikomu skrzywdzić i że jestem bezpieczny, a ja nikomu nie dałbym skrzywdzić jego. Wsiadł na mój grzbiet i pogalopowałem do jego posiadłości. Była dość niedaleko. Wieść o wypuszczeniu koni z pobliskiej rzeźni rozniosła się dość szybko, więc tej nocy musieliśmy wyruszyć na poszukiwanie naszego wspólnego miejsca na ziemi.

Wyruszyliśmy w podróż o zmroku, nie wdając się w szczegóły rano dotarliśmy do małej wioski dość daleko od tamtego miejsca i tutaj postanowiliśmy zacząć wszystko od nowa. Dzisiaj jestem najszczęśliwszym koniem na świecie, nie umiem wyobrazić sobie lepszego domu. Człowiek jest zdolny do przyjaźni ze zwierzęciem, ale musi chcieć się porozumieć. Zawsze jest wspólny język, natura stworzyła nas zdolnych do porozumienia. Kocham mojego człowieka, a mój człowiek kocha swojego konia, bo nie ograniczają nas bariery, jeśli sami ich nie stworzymy. Dostaliśmy zdolność miłości, by ją podawać dalej światu, i każdy koń, pies, kot czy nawet rybka zasługują na taką przyjaźń jak moja z Adamem. Zasługuje na dom pełen ciepła i bezpieczeństwa, bo czasem, to Adam może potrzebować swojego konia.

Życzę wszystkim zwierzętom takiego Adama, jakiego ja dostałem od losu. Niech moja historia będzie zaprzeczeniem istnienia granicy między ludźmi i zwierzętami. A jeśli jakiś człowiek znajdzie izabelowatą klacz, to zatrzymajcie ją jak najbliżej siebie, bo to może być wasz najlepszy przyjaciel. Do zobaczenia mamó.

Małgorzata Gądek kl. III B